Styczeń 2021

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

255

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE”

BACOWANIE PRZEDŚWIĄTECZNE

Przysłop Potócki 19–20.12.2020

Tegoroczne Bacowanie Przedświąteczne odbyło się w okresie trwającej nadal pandemii koronawirusa. Początkowo zapowiadało się więc dość kameralnie – Redakcja z rodziną jako covidowi ozdrowieńcy, Asia i Nowy. Niewielka liczba osób pozwalała wybrać na miejsce bacowania mniejszy niż dotychczas obiekt. Wybór padł na bacówki położone obok bazy na Przysłopie Potóckim.

Przed samą imprezą do grupy dołączyli jeszcze Kasia z koleżanką oraz Łysy i Lex.

Na miejsce dotarliśmy z dwóch stron – część z Rycerek, część z Rycerki. Śniegu wprawdzie nie było, ale było dość mroźno, a niebo rozświetlały gwiazdy i księżyc.

Po ustaleniu, w której bacówce palimy ogień, a w której śpimy, zabraliśmy się za prace organizacyjne. Przyozdobiliśmy też „choinkę”, na której zabłysły nawet światełka. Kasia przyniosła też zelektryfikowany kielonek ze świecącą na zielono diodą.

Ponieważ mieliśmy tym razem dwa rodzaje bigosu – zwykły i wegański, więc stwierdzono, że po ich zmieszaniu uzyskamy bigos wegetariański. W tym roku został chyba pobity rekord w ilości grzańców galicyjskich – było ich pięć, w tym jeden „Red Hot Chilli”.

Była oczywiście gitara, były też dyskusje na tematy wszelakie. Po 1 w nocy część uczestników ułożyła się w komfortowych warunkach w nowej bacówce, która nie została użyta do palenia ognia, a trzech panów musiało zostać w „czarnej izbie”.

Rano przywitała nas piękna pogoda, oszroniona trawa oraz Olek, który dotarł ze stacji w Soli przez Praszywkę, by towarzyszyć nam w niedzielnej wycieczce.

Po śniadaniu i zwinięciu rzeczy część zarządziła powrót do Rycerki, a Redakcja z Jolą, Olą, Asią, Nowym i Olkiem wyruszyła na trasę przez Będoszkę, Przegibek do Rycerek.

Redakcja

MADERA Z NAMIOTEM

Dzień piąty

W nocy deszcz monotonnie bębnił o tropik namiotu, stwarzając doskonałą atmosferę dla długiego snu. Poranek wstaje w takim samym nastroju, zatem wstaje sam – beze mnie – gdyż ja wracam do krainy snu. Około dziesiątej, porządnie już wyspany, wyglądam na zewnątrz, na zupełnie zaciągnięty chmurami świat, po czym chowam się w moim niewielkim, ale suchym M1.

Po jakimś czasie deszcz słabnie i pojawiają się pierwsze przerwy. Początkowo krótkie, potem stopniowo coraz dłuższe, zatem około pierwszej po południu, kiedy okresy pozbawione świeżej dostawy wody sięgają już kwadransa, decyduję się na zwinięcie taboru. Tropik jest, niestety, mokrą szmatą, ale cóż – zwijam i mocuję do plecaka. Po chwili jestem gotów do drogi.

Wracam na szlak i powoli, ostrożnie, bo wszystko mokre i śliskie, zaczynam schodzić w kierunku północnym. Pierwsze napotkane rozstaja opatrzone są drogowskazem na Semagral. Nic mi to nie mówi; gdybyż to przynajmniej był San Graal, mogłoby być wielce interesujące, jednak w tej sytuacji podążam dalej swoim szlakiem, ciesząc się, że aura oszczędza mi kolejnych opadów deszczu.

Przez moment wydaje mi się – ba! jestem prawie pewien – że słyszę jakieś głosy, ale nie spotykam nikogo, a po chwili docieram do następnych rozstajów. Tu obieram kierunek w lewo, na Posto Florestal Vale da Lapa, pamiętając, że na interesującą mnie lewadę muszę skręcić właśnie w lewo, aby skierować się na zachód. Nie będę wyciągał mapy, żeby się upewnić, bo nie chcę jej zmoczyć przy całej tej operacji. Ma być w lewo, więc będzie w lewo. Niestety, gałęzie nisko się pochylają, więc mimo iż zginam się prawie do pasa, stale o nie zahaczam, powodując nieustanny prysznic. Prowadząca nieco pod górę trasa doprowadza wreszcie do budynku Posto Florestal, czyli rodzaju leśniczówki. Zamknięta jest na głucho, na zewnątrz wody brak, więc do niczego mi się ta leśniczówka nie przyda. Mijam ją, teraz już wygodniejszą drogą, a kiedy trafiam na bliskie rozgałęzienie z nazwami, wśród których uporczywie brakuje informacji o lewadzie, poddaję się, sięgając w końcu po mapę. I nagle, po dokładniejszym wpatrzeniu się w nią, wszystko staje się jasne – idę zupełnie nie tam, gdzie bym chciał.

Pamiętałem, że na lewadę Caldeirao Verde muszę z mojego szlaku skręcić w lewo, ale jakoś nie utkwiło mi w pamięci, a może tego nie dostrzegłem, że moja trasa zejściowa przechodzi ponad lewadą, która na tym odcinku chowa się w tunelu, w związku z czym na rozstajach nie miałem pójść w lewo, tylko w prawo. Aha! To tam przecież jakieś głosy dobiegły do moich uszu…

Cóż, trzeba wrócić, przy czym teraz obieram wariant znakowany. Znakowany słabo, bo zaledwie w trzech miejscach zauważam czerwone punkty, mocno już nadgryzione zębem czasu, za to szlak jest bardzo eksponowany. Chwilami spad urywa się pionowo, to znów sięga rzędu 75 stopni, a skała wypycha tu i ówdzie mój wielki plecak, grając w pingponga z obecną na tym odcinku barierką. Docieram do rozstajów z drogowskazem w górę na Pico Ruivo – tędy powinienem zejść, a dlaczego wyszło inaczej, nie mam pojęcia – zaś ze dwadzieścia metrów dalej kolejne rozstaja, przez które właśnie ktoś przemyka. To wreszcie moja wyczekiwana lewada: Caldeirao Verde, czyli Zielona Kaldera.

Ruszam w jej kierunku, by w moment osiągnąć wlot tunelu, długiego i ciemnego. Kiedy dobieram się do plecaka, aby wyjąć i założyć czołówkę, w tunelu dostrzegam zbliżające się światełka. To dwoje Francuzów, a jako że minęła czwarta po południu i zaczynam poważnie powątpiewać w możliwość zakupu pieczywa w tym dniu, zaczepiam ich, czy nie mają nadmiaru tego asortymentu. Niestety, mają tylko płatki zbożowe, których chętnie się pozbędą na moją rzecz, jednak dziękuję z całego serca, gdyż ten artykuł by mi przez gardło nie przeszedł. Pytam jeszcze o drogę i ich wrażenia. Mówią, że z tego miejsca to jeszcze w całości jakieś trzy godziny i że trasa jest trudna.

Zanim wniknę do tunelu, nadchodzą jeszcze Niemcy, których również nagabuję w kwestii pieczywa.

– Oj, zjedliśmy wszystko, co mieliśmy ze sobą, ale czekaj! Mamy czekoladę, weź!

Szalenie miło z ich strony, jednak to też nie to, czego potrzebuję. Rzucam jeszcze pytaniem o możliwość rozstawienia namiotu gdzieś na trasie. Chwila namysłu… nie, kręcą głowami. Nie da się…

Kiedy się rozstajemy i wchodzę do tunelu, słyszę ich wołanie:

– Mamy jeszcze muffinkę!

Śmiejąc się, tylko macham im ręką i zanurzam się w ciemność.

W tunelu mijam się z kolejnymi wracającymi, a że z moim wielkim garbem jestem czymś w rodzaju zawalidrogi, to niektórzy wchodzą na murek lewady, żebym mógł się zmieścić.

Po wyjściu z tunelu doceniam urodę tej trasy, mimo wciąż kiepskiej widoczności i zawieszonych nisko chmur. Wąska nitka czynnej lewady z barierką na większości odcinków, bo stromizna okrutna. Kolejny tunel jest niższy od poprzedniego, co powoduje konieczność niewygodnego pochylania się w kilku miejscach. Dalej znowu pięknie i bez niedogodności. Lewada podnosi się w minimalnym stopniu, tak że żadnego podejścia się nie czuje. Wijąc się po zboczu, raz po raz mija spadające z góry wąskie strużki kaskad, które miejscami spryskują beton, żeby się zanadto nie kurzył.

Przechodzę również przez parę mostków ponad gwałtownie w dół opadającymi, wąskimi dolinkami, zaś najciekawsze są wklęśnięcia zbocza, gdzie po kilka kaskad zalewa samą lewadę, więc porobione są piesze obejścia poniżej. Oprócz zwykłych turystów spotykam również grupki młodzieży, których całym bagażem jest puszka czy butelka coli oraz paczka czipsów. Nie myślałem, że ten trakt jest aż taki popularny. Ale! Przecież dzisiaj jest sobota, więc nic dziwnego, że ruch może być znacznie większy niż w zwykły dzień.

Nadchodzi jednak moment prawdy… Kolejny tunel jest już taki niski, że muszę się nie tylko pochylić, co już jest z tym ciężkim plecakiem średnią przyjemnością, ale wręcz posuwać się ruchem kaczuchy. Zaczynam powątpiewać w sens tego przedsięwzięcia, a moje wątpliwości znajdują pełne uzasadnienie w momencie, gdy się po prostu klinuję. Zaczynam się szarpać, żeby uwolnić przyblokowany plecak, w końcu dochodzę do wniosku, że to jest właśnie koniec mojej trasy. Pozostaje jeszcze jakoś się stąd wycofać bezstratnie, co nie jest trywialnym zadaniem. W efekcie wyczołguję się na czworakach, co może nie stanowi szczytu elegancji, ma jednak tę zaletę, że jest skuteczne. Cóż, rozpoczynam odwrót, bo z wielkim bagażem na grzbiecie tego po prostu nie da się zrobić. Cieszyłem się na te dwie lewady, jako że przedłużeniem Caldeirao Verde jest Caldeirao do Inferno, czyli Piekielna Kaldera, składające się na słynną i uznaną trasę na Maderze. Niestety, nic z tego – może innym razem, ale już z małym, lekkim plecakiem. Obiecuję sobie, że na pewno kiedyś tu wrócę.

Pokonuję znany już odcinek drogi, tym razem w przeciwnym kierunku, przechodząc wkrótce pierwszy dzisiejszy tunel. Dalej idzie się znacznie wygodniej, chociaż raz za czas trzeba wziąć niewielki prysznic. Chwilami otwiera się widok na północną stronę, w kierunku ulokowanego na wybrzeżu Sao Jorge – niebo wciąż jest jeszcze zachmurzone, ale obawy przez deszczem mam coraz mniejsze.

Docieram do Casas de Queimadas, oznaczonego na mapie podobnie jak schronisko, hotel czy chociażby restauracja. Wchodzę i widzę piękny salon, w którym kilku mężczyzn gra w karty przy stole ustawionym blisko kominka. Któryś mnie zauważył i coś do mnie zawołali – wprawdzie nie zrozumiałem ani słowa, ale jakoś z tonu, może z mimiki wnioskuję, że niekoniecznie jest to przywitanie. Zatrzymuję się nieco zdezorientowany i zadaję po angielsku pytanie, czy to jest może jakaś restauracja. Nie – słyszę w odpowiedzi – to prywatny dom.

– Can I help you? – pada z kolei pytanie.

Wyjaśniam, że miałem nadzieję na możliwość zakupu kawałka chleba, na co kierują mnie do kuchni, skąd wychodzi akurat jakaś zaciekawiona niespodziewanym zdarzeniem pani. Prowadzi mnie do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie dla odmiany urzędują same kobiety. Przepraszając za zamieszanie, wyłuszczam swój problem.

– Chleb? Ależ, oczywiście. Z masłem? Z dżemem?…

Dziękując za wszelką omastę, proszę wyłącznie o samo pieczywo. Jedna z pań ładuje coś do siatki – nawet nie widzę ile – a kiedy chcę zapłacić, stanowczo protestują.

– No money, no, no! – chowam zatem pieniądze.

– Muito obrigado – popisuję się jednym z niewielu znanych mi zwrotów portugalskich, co wzbudza życzliwe uśmiechy.

Do kobiecego towarzystwa w kuchni dołącza jeden z mężczyzn, pytając mnie: Alemao?

Czy jestem Niemcem? No, niekoniecznie.

– Polonia – wyjaśniam.

– A! Futebol – uśmiecha się. Cóż, potęgą piłkarską Polska nie jest, ale to w kontekście bieżącego turnieju UEFA.

Dziękując gospodarzom, opuszczam ich domostwo z siatką upragnionego chleba, a także zostawiam swoje śmieci w napotkanym koszu. Muskając zaledwie wzrokiem drogowskaz na Pico das Piedras, wybieram drogę bardziej w lewo. Żadne pico, żaden szczyt, mnie nie interesuje – chcę kontynuować przejście lewadą. Jednak szybko się orientuję, że obrałem szosę asfaltową, prowadzącą w doliny; wracam zatem do rozstajów, tym razem wczytując się dokładnie we wszelkie dostępne informacje. No, tak – oprócz szczytu Pico das Piedras, jest jeszcze drugie miejsce o takiej samej nazwie, usytuowane 20 metrów niżej od mojej aktualnej pozycji i odległe o około dwa kilometry. I to będzie moje pico, jako że leży na przedłużeniu lewady, którą wędruję, tyle że tym razem jest to już jednak szeroka droga. Nabieram do butelek wody wprost z lewady i zaczynam się rozglądać za stosownym miejscem na nocleg. Jakoż i po chwili nadarza się coś odpowiedniego – ograniczona barierką droga zatacza lekki łuk, zostawiając pomiędzy ogrodzeniem a lewadą fajne płaskie miejsce. Opieram plecak o płotek i ruszam bez niego jeszcze jakieś dwieście metrów, by sprawdzić najbliższe sąsiedztwo.

Za zakrętem pozdrawiam napotkaną panią z pieskiem, a ta szeroko się do mnie uśmiecha. Okazuje się, że to jedna z kobiet z kuchni, tylko ja – jak zwykle – nie poznałem.

– Nocleg? Dziesięć minut dalej masz Rancho Madeirense, tam się prześpisz.

Nie, dziękuję – wyjaśniam, że wolę w namiocie.

– Pod namiot też tam się miejsce znajdzie. Jak zapytasz, na pewno nie będą mieli nic przeciwko.

Pozostaję jednak przy swojej wersji, żegnam się z nią przy moim bagażu, przeciągam go przez płotek, rozstawiam kuchnię i zabieram się za namiot. Zanim mój hotel nabierze właściwego kształtu, mam już gorącą kawę, po niej gotuję obiad, a następnie przychodzi czas na herbatę. Czego jedynie brakuje, to piwa, ale cóż – nie można mieć wszystkiego.

Przed pójściem spać studiuję mapę, obmyślając trasę na kolejny dzień. Parę dni temu rozpoczynałem całą wędrówkę na południowym wybrzeżu, przeszedłem przez centralny grzbiet, wypadałoby zatem zaglądnąć na północ wyspy. OK, plan jest, więc mogę się zanurzyć w krainę snu. Dobranoc…

Wojtek Spała

TO BYŁO

✔ 19–20.12 Bacowanie Przedświąteczne na Przysłopie Potóckim.

✔ 27.12 Poświąteczne Spalanie Kalorii, na które wybrała się grupa Harnasi (w porywach 15 osób) odbyło się tym razem na trasie: Mała Puszcza – Żar – Kiczera – Mała Puszcza przy pięknej, słonecznej pogodzie.

✔ 6.01 Górski Orszak 3 Króli złożony w tym roku z 4 króli i 2 królowych (Gintery, Rakety, Nowy i Sławek N.), zdobył Rycerzową w całkiem już zimowych warunkach.

Kolejne Mamucie wypady w góry w planach.

TO BĘDZIE

❋ Nadal nie wiemy, co będzie, ale widząc, co się dzieje za oknem, można sądzić, że w górach będzie wkrótce zima z całkiem sporą ilością śniegu.

❋ Ze względu na pandemię w 2020 r. nie było egzaminu praktycznego i w związku z tym w 2021 r. nie będzie Blachowania. Miejmy nadzieję, że zbiorcze i huczne Blachowanie odbędzie się w 2022 r.